

*Dedukuję:
Wszystkim, którzy nie wyobrażają sobie,
czym może być świat bez miłości.*

Wcale nie musiała jechać do Pieskowej Skały, aby zobaczyć Maczugę Herkulesa. Wystarczyło, że na przerwie mrugnęła do mnie okiem i razem zgodnie szliśmy do ogrodu botanicznego za szkołą trochę się podotykać. Na koniec krótkim pocałunkiem dziękowaliśmy sobie i spokojnie powracaliśmy do zajęć szkolnych. Trwało to ponad rok i przez cały ten czas myśleliśmy, że dziurka, którą Bożenka sika, ma urosnąć tak, abyśmy mogli ze sobą pobaraszkować. Za każdym razem, gdy się dotykaliśmy, przeprowadzałem kontrolę i robiłem pomiar tego dziwnego miejsca. Czas mijał. Bożence podrosły piersi, zaokrągliły się biodra, a dziurka wciąż była taka sama. Pewnego dnia zgodnie stwierdziliśmy, że Bożenka ma jakiś feler. Miała przecież czternaście lat, tyle samo, ile Lilka z siódmej „B” i nic. Tamta chodziła na wagary z chłopakami i już dawno dawała sobie po kroku. Byliśmy tym faktem trochę przygnębieni i nie rozumieliśmy, dlaczego tak jest. Bardzo chciałem pokochać się z nią, gdyż większość chłopaków w moim wieku miała to już za sobą, a ja wciąż korzystałem z usługnej ręki mojej koleżanki.

Postanowiłem więc coś z tym fantem zrobić. Miałem przecież Jurka, który jest moim kuzynem, i to jego właśnie zdecydowałem się o to zapytać. Kupiłem cztery alpagi, poszedłem na Pawiak i zwołałem Jurka na bok. Przy trzecim winie zapytałem go, jak to z tym jest. Kuzyn mój roześmiał się głośno, ale wszystko mi dokładnie wytłumaczył. Następnego dnia nie przeprowadzałem już kontroli, tylko dumnym głosem oznajmiłem jej, że już wiem, jak to się robi. Bożenka rzuciła mi się na szyję i podziękowała, gdyż naprawdę myślała, że w tych sprawach jest ułomna. Pochodziła tak jak ja z dobrego domu, a te tematy w tamtych latach były tematami tabu. Umówiłem się z Bożenką w starym drewniaku pod lasem. Kupiłem dobre wino gronowe i udałem się na spotkanie.

Bożenka przyszła punktualnie. Bez zbędnych ceregieli wypiliśmy wino, oddaliśmy moczu i wzięliśmy się ostro do roboty. Wszystko odbyło się bardzo szybko, gdyż nieoczekiwanie po pierwszych paru ruchach z mojej koleżanki zaczęła cieknąć krew. Oboje strasznie się przestraszyliśmy. Tak więc czym prędzej odprowadziłem Bożenkę do domu. Dumny z siebie poszedłem uczcić ten dzień wraz z Jurkiem. Kiedy wracałem do domu szczęśliwy, lekko podchmielony, nawet nie pomyślałem, że rodzice coś wiedzą o moim wyczynie.

Otworzyłem drzwi, matka zawołała mnie do kuchni.

Wszedłem, a tam siedziała prawie cała moja rodzinka. Matka, ojciec, dziadek i babcia. Podszedłem do matki i w tym samym momencie, z tyłu przez plecy, dostałem czymś twardym od ojca. Wygięło mnie do tyłu, a matka wtedy walnęła mnie w głowę deseczką od mięsa. Nogi mi się ugięły i upadłem. Lekko zamroczony usłyszałem, jak matka mówi do ojca:

– Gienek, no to wychowaliśmy wampira.

Ojciec potwierdził stanowczym:

– Chyba tak. – I powiedział: – Jak ma być zbrojeńcem, to lepiej go od razu zatłuc.

I zaczęli okładać mnie, czym popadło. Każdy cios był dokładny, mocny, wymierzony. Przyłożyli się do tego solidnie. Z nosa i ust poleciała mi krew. Babcia uderzyła w stół i ogłosiła koniec pierwszej rundy. Wzięła ręcznik, zmoczyła i obmyła mi rany. Rodzice gotowi do następnego starcia stali w drzwiach, czając się do ataku. Nie miałem na co czekać. Okno w kuchni było otwarte. Zerwałem się z podłogi i wraz z firanką ewakuowałem się na podwórko.

Uciekając, zacząłem analizować to, co się stało. Czyżby Bożenka powiedziała, że ją zgwałciłem, ale to wydało mi się mało prawdopodobne. No bo przecież dotykaliśmy swe ciała tak długo. A więc o co chodzi? Nie wiedziałem, co robić, gdzie iść, jak to wyjaśnić. Z jednego tylko byłem zadowolony: że uda-

ło mi się uciec. Tymi razami naprawdę mogliby mnie zatłuc na śmierć. Dwie może trzy rundy jeszcze bym wytrzymał, ale na ile ta walka była zakontraktowana, tego nie wiem.

Poszedłem więc do Jurka i wszystko mu opowiedziałem. Jurek wysłuchał i jako uznany znawca kodeksu karnego powiedział:

– Masz Młody niezły kocioł. Nadal masz poprawczak w zasłabach, teraz dojdzie ci gwałt, nieźle. Ale nie pękaj, mogą cię tam trzymać tylko do osiemnastego roku życia, a to tylko cztery lata. Szybko ci zleci, zobaczysz. Nauczysz się paru knifów, które ci się później przydadzą i wyjdiesz. Ja tu ci nic nie pomogę, bo jeżeli to gwałt, to sprawa idzie z urzędu i będziesz po prostu musiał iść kiwać.

Po słowach otuchy od mojego kuzyna udałem się do starego drewniaka pod lasem.

Tej nocy nie mogłem w ogóle zasnąć. Wiele razy tam się ukrywałem, ale teraz sprawa wyglądała naprawdę poważnie. Cztery lata w poprawczaku to wizja, jaka nigdy nie przyszła mi do głowy. W potyczce z rodzicami straciłem trochę krwi. Byłem słaby i wszystko mnie bolało. Takiego omłotu jeszcze chyba nie dostałem. Rozbita głowa, rozcięte ucho, napuchnięte usta i czarna pręga na plecach po dziadkowej lasce to był bilans mojego pierwszego pełnego kontaktu z dziewczyną. Wyglądałem jak powracający niemiecki żołnierz spod Stalingradu. Bez ziemi ani domu, do którego mógłbym wrócić.

Rano opuściłem swój azyl pod lasem i udałem się w kierunku szkoły. Po drodze spotkałem Czarka z mojej klasy i kazałem mu się zorientować, co w szkole słyhać. Poczekałem na ogródkach szkolnych i dowiedziałem się, że szukają mnie tylko moi rodzice. Byli rano w szkole i są bardzo zaniepokojeni tym, co się ze mną stało. W ogóle nie mają pojęcia, dlaczego nie wróciłem na noc i dlaczego taki dobry chłopak jak ja, tak się zachowuje.

O Bożence nie było w ogóle mowy. Nie było jej w szkole, bo zatrzała się grzybami i wylądowała w szpitalu. Ta wiadomość dodała mi skrzydeł. Zacząłem analizować. Skoro szukają mnie tylko starzy, to Bożenka powiedziała prawdę i rodzice chcą tę sprawę zatuszować. A więc postanowiłem udać się do szpitala.

Po drodze wstąpiłem na Pawiak, aby upewnić się, czy to nie jest jakiś fortel ze strony mojej matki. Wypytałem chłopaków, czy psy mnie nie szukają, wypłem parę łyków wina i ruszyłem zobaczyć, co z Bożenką. W recepcji szpitalnej zapytałem, gdzie leży i poszedłem na górę. Ostrożnie zbliżyłem się do drzwi. W sali oprócz niej nie było nikogo. Wszedłem, a ona od razu zaczęła mnie przepraszać. Mówiła, że to jej ojciec wymyślił jakiś gwałt i polecał do moich rodziców. Machnąłem ręką i pocałowałem ją w policzek.

– Wiedziałem, że to nie ty – powiedziałem.

Chwyliła mnie za szyję i mocno przytuliła do siebie.

– Bardzo oberwałeś? – szepnęła mi do ucha.

– Trochę, ale to nic. Teraz nie bardzo wiem, jak mam wrócić do domu. Nic się jednak nie martw, dam sobie jakoś radę. Lepiej powiedz, co z tobą.

Bożenka poprawiła się na łóżku i powiedziała:

– Mam tam w środku popękane i założyli mi szwy, ale już mnie tak nie boli.

– Okey, będę już szedł – powiedziałem – bo nie chcę się naktnąć na twoich rodziców.

Pocałowałem ją na pożegnanie i wyszedłem. Sprawa teraz była prosta. Ojciec Bożenki ubzdurał sobie, że ją zgwałciłem, a moi starzy zatłukliby mnie na śmierć, nie pytając nawet, jak naprawdę było.

Dobrze pamiętam ten dzień. Z każdym krokiem coraz bardziej ich nienawidziłem. Tak naprawdę wtedy już od dawna w domu byłem jedynie tylko chłopcem do bicia. Coś im nie wyszło, to zaraz odbijali sobie na mnie. Pod byle pretekstem

dostawałem omłot. Zachowywali się tak, jakby nie byli moimi rodzicami. Nie rozumiałem, skąd w nich tyle nienawiści. Dlaczego mnie nie kochają? Czemu szydzą z moich pomysłów? Dlaczego mnie ignorują? Czy tak naprawdę urodziłem się tylko po to, aby dostawać ciągle łomot?

Pamiętam, kiedy przychodzili do nich znajomi, matka wołała mnie, abym się przywitał. Ojciec wtedy zachowywał się tak, jak na ojca przystało. Od matki biło ciepło, troska i zainteresowanie moim życiem. Kiedy tylko byliśmy sami, leciały epitety i pogróżki pod moim adresem. Ogłaszali na nowo stan totalnej wojny. Nie rozumiałem, po co ta cała maskarada. Bliska moja rodzina wiedziała, co się u nas w domu dzieje, lecz nikt w to nie ingerował. Ojciec był partyjny na stanowisku, a matka pracowała w biurze i cieszyła się tam dobrą opinią. Z boku wyglądało to na porządną, spokojną rodzinę. W rzeczywistości starzy kłócili się bardzo często. Matka chciała odchodzić. Rozwód wisiał w powietrzu. Od rana do wieczora jeden wielki koszmar. Nie wiedziałem, jak się zachowywać, co robić, aby nie nadebrać matce na odcisk. Wiecznie było jej źle. Wszystko jej przeszkadzało. Coraz głośniej mówiła o rozwodzie, sprzedaży domu i podziale majątku.

Pewnego dnia po strasznej awanturze, którą nam wszystkim zrobiła, wreszcie odeszła. Ojciec zupełnie zbaraniał. Szukał jej wszędzie i na moje nieszczęście w końcu znalazł. Wiem, że nie chciała się z ojcem pogodzić. Jednak chyba po dwóch tygodniach wyświadczyła nam wielką łaskę i wróciła. Wtedy dopiero zaczęły się dla mnie prawdziwe kłopoty. Odbierałem ją, iż żałuje, że mnie w ogóle urodziła. Dziś widzę, że pomimo tego, iż ludzie nasz dom nazywali dobrym, była to ciężka patologia. Bicie, krzyki, awantury i ciągle wyzwiska – to słodka tajemnica niejednego takiego domu. Jednak przed ludźmi musiałem udawać, że u nas w domu panuje sielanka, zgoda, miłość i zrozumienie.

Wprawdzie warunki do życia mieliśmy wspaniałe. Nowy duży dom. Tylko dwoje dzieci. Oboje rodzice pracowali w biurze. Dobre zarobki. Ogólnie sielanka. W takim domu niejeden z późniejszych moich kompanów chciałby się urodzić. Niejeden, ale nie ja. Wtedy jednak był początek lat 60. i dopiero zaczynało się moje feralne życie. Rodzice dużo pracowali, a popołudniami wili swoje rodzinne gniazdko. Wiodło im się coraz lepiej. Z każdym rokiem dom ich wizualnie przybierał optycznego smaku. Pojawiły się nowe meble, pralka, lodówka, telewizor. Jednak to wszystko tylko na chwilę łagodziło kłótnie, jakie coraz częściej pomiędzy nimi wybuchały. Obstawiali się więc nowymi gratami, aby odwrócić uwagę od prawdziwych problemów. Matka już wtedy całkowicie zdominowała ojca i decydowała absolutnie o wszystkim. Ojciec tańczył, tak jak mu zagrała. Z każdym miesiącem cięli się coraz bardziej, a przy okazji zaczynało obrywać się i mnie.

Czasy wówczas w naszym kraju były również napięte. Władze PRL nie zgodziły się na przyjazd Papieża do Polski, a okazja ku temu była nie byle jaka, 1000-lecie Chrztu Polski. Tymczasem u nas w domu zbliżała się komunია mojej siostrzyczki. Ja, mając już cztery lata, nie byłem jeszcze ochrzczony, a więc rodzice postanowili połączyć te dwie uroczystości razem. I tak też się stało. 22 maja 1966 roku w kościele parafialnym w Warthenau zostałem przyjęty w poczet katolickiej wspólnoty chrześcijańskiej jako szeregowy jej członek. Czasy te dla naszego kościoła były dość ciężkie, tak więc każda nowa duszyczka przyjęta w szeregi kościelne była bardzo cenna. Przypominając sobie dawne czasy, poczułem ogarniające mnie zmęczenie i zasnąłem.

Następnego dnia ponownie spotkałem się z Bogdanem. Dzień był pochmurny, a więc poszliśmy do tej samej małej kawiarenki, gdzie spotkałem się z Sylwią. Z początku rozmawialiśmy o niczym, aż w końcu koleś mój poruszył temat

narkotyków. Do tamtej chwili nie miałem zielonego pojęcia, iż w moim miasteczku tylu ludzi je bierze. Wiedziałem, że istnieją, ale że są obok mnie tak blisko, z tego nie zdawałem sobie sprawy.

– Nie namawiam cię, ale idę właśnie przygrzać i jeśli chcesz, to możesz pójść ze mną – powiedział.

Dopiłem herbatę i udaliśmy się do starego walącego domu na rogatkach miasta. To była pierwsza hip chata, jaką w swoim życiu zobaczyłem. Jeden duży pokój, w kącie którego stał kuchenny metalowy piec opalany na węgiel. Pod oknem na podłodze leżał dwuosobowy materac, na którym w ubraniu spała dwudziestoparoletnia dziewczyna. Na środku pokoju widniała gruba dębowa ława, a na niej znajdował się cały dobytek gospodarzy. Od chleba począwszy, a na brudnych garnkach z resztkami jedzenia skończywszy. W drugim rogu naprzeciwko pieca stała bardzo wysłużona kozetka, a na niej zgarbiony siedział niepełna trzydziestoletni chłopak z długimi włosami. Okno zasłonięte było grubym bawełnianym kocem, a tuż nad nim paliła się słaba żarówka pomalowana na czerwono. Kiedy wszedłem do wewnątrz, pod butami usłyszałem skrzypiący piasek i resztki niedopalonego węgla. Za kozetką na małym stołeczku stał magnetofon, z którego cicho rozbrzmiewała muzyka Hendriksa. Takiej meliny już dawno nie widziałem. Z dużych garnków stojących na piecu ulatniał się dziwnie mdły zapach. Mieszkanie to przypominało raczej opuszczony grobowiec, aniżeli dom cywilizowanego człowieka.

Przywitałem się z długowłosym kolesiem i usiadłem obok niego. Bogdan zajrzał do gara i powiedział:

– Przyniosłem ci bezwodnik.

– To świetnie – odrzekł mu gospodarz.

– Znajdziesz dla nas jakąś działkę?

Koleś podrapał się po brodzie i twierdząco kiwnął głową. Sięgnął ręką za magnetofon i wyjął dużą strzykawkę pełną

ciemnobrązowego płynu. Bogdan odciągnął do swojej strzykawki niewielką ilość i sucho rzucił do mnie:

– Podwiń rękaw.

Bąłem się potwornie, ale posłusznie zrobiłem to, co zaproponował. Wyjął z kieszeni kawałek cienkiego rzemienia i klęknął przede mną. Obwiązał mi rękę powyżej łokcia i zaczął zacisnąć pięść parę razy. Na przedramieniu wyskoczyły mi grube napeężniałe żyły. Sięgnął ręką po strzykawkę i wkuł się w jedną z nich. Tłoczek pociągnął trochę do siebie, aż w środku pół przezroczystej strzykawki pokazała się krew.

– Dobra, puść już sznurek – nakazał.

Puściłem, a on wtłoczył mi parę kresk brązowego płynu do środka. Wyciągnął strzykawkę i zgiął mi rękę, dokładnie tak, jak to robi się po zastrzyku. Przez chwilę zastygłem w bezruchu. Nagle w moje ciało od wewnątrz uderzyło miliony igieł. Na plecach, głowie, twarzy, rękach i nogach przeleciała fala dziwnego swędzenia. Serce parę razy uderzyło mocniej i po chwili zaczęło bić słabo i wolno. W dołku poczułem dziwny ucisk, a powieki zrobiły się bardzo ciężkie. Twarz opuchła mi strasznie, a ciało dziwnie zwiotczało. Siedziałem, ale głowa leciała mi ku dołowi. Co chwilę otwierałem lekko powieki i podrywałem głowę do góry, aż w końcu zapadłem w letarg. Czułem się cudownie. Cały ten świat wraz z jego problemami przestał nagle istnieć. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem wspanialszego stanu. Co chwilę uchylałem powieki i raz za razem drapałem się po całym ciele. Swędzenie to było niezwykle przyjemne. Jak z zaświatów dochodziła do mnie muzyka Hendriksa i głosy moich nowych kompanów od strzykawki. Złamany w pół posiedziałem tak przez jakiś czas i zebrało mnie na rzyganie. Bogdan podstawił mi wiadro i opróżniłem całą zawartość żołądka. Napilem się łyka wody i na nowo zapadłem w bardzo przyjemny stan, dziwnej, dotąd nie znanej mi śpiączki. Poczułem się wtedy naprawdę wolny. Kłopoty przestały istnieć. Parę kresk brązowego płynu

uczyniło mnie w jednej chwili najszcześniejszym człowiekiem na ziemi. Nie odczuwana dotąd błogość ogarnęła moją duszę i ciało. Nawet dom, w którym tego wieczoru wylądowałem, wydał mi się nagle wyjątkowo piękny. Życie zaczęło mieć sens i w jednej chwili pokochałem wszystkich ludzi. Pomyślałem, iż wreszcie znalazłem złoty środek na moje problemy i w duchu obiecałem sobie, że będę w tym trwać. W narkotycznym uniesieniu i we wspaniałym samopoczuciu dotrwałem do rana.

Nazajutrz wraz z moim nowym druhem ruszyliśmy autobusem do oddalonej o trzydzieści kilometrów wsi po słomę makową. Wracając, zaszedliśmy do Bogdana po resztę składników potrzebnych do produkcji narkotyku, zwanego przez ćpunów kompotem. Od niego wróciliśmy do mieszkania, w którym spędziliśmy poprzednią noc. Chłopaki nastavili garnki na piec i zaczęli produkcję tego, jak mi się wówczas wydawało, wspaniałego środka. Trwało to parę godzin, aż wreszcie proces technologiczny dobiegł końca. Wszystko było jak w największym porządku, poza cuchnącymi oparami, które się podczas niego wydobywały. Smród był tak wielki, że chwilami zbierało mnie na wymioty. To jednak żadnego z nas nie przerażało. Świadomość dobrotliwego działania tej cieczy spychała wszelkie przeszkody na plan dalszy. Bogdan ponownie wkuł mi się w żyłę i na nowo doświadczyłem największej przyjemności mojego dotychczasowego życia.

Od tego dnia świat mój wyglądał inaczej. W nocy produkcja, a w dzień latanie za składnikami potrzebnymi do zrobienia kompotu. Nie mieszkalem wtedy nigdzie, gdyż w nocy produkowaliśmy, a w dzień chodziłem zaćpany, wiecznie coś załatwiając. Wpadałem tylko czasami do starego drewniaka, aby przebrać się w nieco czystsze rzeczy i odurzony ciemnonarowym płynem szedłem po raz kolejny dać sobie w żyłę.

Poprzednia fascynacja ruchem hipisowskim wraz z braniem coraz większych działek bezpowrotnie minęła. Po upływie paru

tygodni musiałem wkuwać się w moje pokancerowane już żyły dwa, a nawet trzy razy dziennie. Narkotyk działał teraz inaczej. Był potrzebny mi do życia nie mniej niż tlen, woda czy sen. Pewnego dnia, idąc z workiem słomy makowej na plecach, natknąłem się na Sylwię. Spojrzała na mnie z politowaniem i powiedziała:

– Ratuj się, Młody, dopóki jeszcze możesz.

Wtedy dopiero dowiedziałem się od niej, iż nigdy nie brała i że jest zagorzałą przeciwniczką ćpania. Niestety na odstawienie narkotyków było już za późno. Działki, jakie wtedy już brałem, uzależniły mnie do tego stopnia, że głody, które po nich przechodziłem, były nie do wytrzymania. Kiedy budziłem się rano, oczy łzawiły mi potwornie. Mięśnie, kości i stawy bolały w tak specyficzny sposób, że od razu nie myślałem o niczym innym, jak tylko o ćpaniu. W nocy dopadały mnie koszmary, a po przebudzeniu ciało moje złane było potem. Wyglądałem opłakanie. Brudny, śmierdzący, zaniedbany, a co w tym wszystkim najgorsze to to, że jeszcze wtedy takie życie mi się bardzo podobało. Po niespełna czterech miesiącach znajomi przestali mi się kłaniać. Nawet dawni moi koledzy ze szkolnej ławki przechodzili na drugą stronę ulicy, widząc mnie na swej drodze. Upadłem strasznie.

W przeciągu paru miesięcy, biorąc potężne działki, znalazłem się na samym dnie. Powłóczyłem za sobą nogami, niczym kłozard wybierający resztki z okolicznych śmietników. Wszystko zaczęło mieć inny sens. Na życie patrzyłem jak na jakieś dziwne zjawisko, które w ogóle mnie nie dotyczy. Oddzielony byłem od niego jakąś niewidzialną szybą, przez którą nie mogły się przebić żadne sprawy oprócz potrzeby ćpania. Jedyne, co trzymało mnie przy życiu, to ten wspaniały, jak mi się jeszcze wówczas wydawało, ciemnobrazowy płyn. Po upływie kolejnego miesiąca w sprawie mojego brania nic się prawie nie zmieniło. Nadal robiliśmy produkcję i wszystko pewnie

trwałoby tak dalej, gdyby nie pożar podczas pewnego nocnego odpału.

A było to tak. Mieliśmy jeszcze trochę towaru z dnia poprzedniego. A więc każdy z nas dał sobie ostro w żyłę. Bogdan puścił muzykę i położyliśmy się spać. Na piecu Zbyszek nastawił garnek z makiwarą i też zasnął. Kładąc się, dołożył dużo węgla do pieca. Woda się wygotowała i susz w garnku zaczął się palić. Na domiar złego obok pieca ktoś postawił pełną butelkę z acetonem, która, gdy tylko dostała trochę ognia, wybuchła. Zbyszek zerwał się pierwszy i w panice wyrwał nas z głębokiego snu. Pożar rozszalał się już tak duży, że w zasadzie nie było tam czego ratować. Uciekliśmy więc w popłochu z tego miejsca, przenosząc się z naszym procederem do małego drewnianego domku, który był kiedyś własnością babci Bogdana. Teraz jednak mieliśmy jeszcze poważniejsze kłopoty. Mieszkanie, które spłonęło, Zbyszek wynajmował i właściciel zgłosił ten fakt na milicję. Przez kolejne dni psiarnia jeździła po mieście i jak wściekła weszła za Zbyszkiem. Trochę nam to pokrzyżowało działanie, gdyż teraz we dwóch z Bogdanem musieliśmy załatwiać składniki, a to nie było wcale takie proste. Nie mieliśmy jednak wyboru i od rana aż do późnych godzin popołudniowych organizowaliśmy wszystko, aby w nocy ponownie dać sobie w żyłę.

Z każdym dniem mieliśmy coraz mniej składników. Ćpania też tym samym było coraz mniej. Od czasu do czasu zaczynały się między nami kłótnie, gdyż zdarzało się, że ktoś, podczas gdy inni spali, przyćpał jego działkę. Kiedy zaczynaliśmy wspólnie brać narkotyki nas łączyły. Teraz działa się zupełnie odwrotnie. Za każdą kreskę skakaliśmy sobie do gardeł. Jeden drugiemu patrzył na ręce, a przy tym sam chciał dla siebie wyrwać jak najwięcej. Koleżeństwo pomiędzy nami zupełnie się skończyło. Doszło już do tego, że coraz częściej ginęły działki. Trwało to jakiś czas, aż pewnego dnia zupełnie skończyły się składniki.

Towar, który nam pozostał, wystarczał tylko na jeden odpał. Ta wizja przeraziła nas zupełnie.

Każdy z nas był już tak wkopany w ćpanie, że dzień następny wydawał nam się koszmarem. Pomimo tego zaczęliśmy ostatni nasz wspólny odpał. Skończyliśmy dość późno w nocy, podzieliliśmy resztę towaru i położyliśmy się spać. Nazajutrz obudziłem się pierwszy. Bogdan jeszcze chrapał na wersalce. Poszedłem do kuchni napić się wody i przy piecu ze strzykawką w rękę zobaczyłem leżącego na podłodze Zbyszka. W pierwszej chwili pomyślałem, że śpi. Jednak, gdy zbliżyłem się do niego, od razu zrozumiałem, że nie żyje. Usta miał lekko otwarte, a w nich stały jeszcze resztki jedzenia, którymi przed śmiercią zwymiotował. Zerwałem Bogdana z wersalki i powiedziałem mu, co się stało. Koleś mój obejrzał ciało, wzruszył ramionami i powiedział:

– Chodź, przyćpamy, bo trzeba wezwać psy.

Mój wielki sen o narkotykach właśnie dobiegł końca. Po raz ostatni wzięłem do ręki strzykawkę, wkułem się w żyłę i wcisnąłem sobie płyn, który parę chwil wcześniej zabił mojego kompana. Później wszystko potoczyło się błyskawicznie. Bogdan przedzwonił na milicję i do wyjaśnienia sprawy aresztowano nas.

Siedząc w więziennej celi na komendzie w Warthenau, przechodziłem prawdziwą gehennę. Narkotyczny głód był tak silny, iż myślałem, że oszaleję. Po dwóch dniach zwolniono nas do domów. Śledztwo wykazało przedawkowanie bez winy osób trzecich. Z komendy zabrał mnie ojciec. Wziął pod swój dach, gdzie w potwornych katuszach dochodziłem do siebie. Przez prawie miesiąc patrzyłem w sufit swojego pokoju, dostając świra. Dopiero teraz samotność doskwierała mi coraz bardziej. Chwilami myślałem, iż już nie ma miejsca dla mnie wśród normalnych ludzi. Czuję do siebie nieopisaną pogardę za to, co się w ostatnich miesiącach wydarzyło. Dopiero teraz docierało

do mnie, jak bardzo się zeszmaciłem. Jak nisko upadłem, a przy tym czułem się współwinny za bezsensowną śmierć Zbyszka. Początkowo myślałem nawet o samobójstwie. Jednak z każdym dniem, gdy stan mój fizyczny poprawiał się, powracała wraz z nim nadzieja na lepsze jutro.

Skopany przez życie, przerażony tym, co się ostatnio wydarzyło, wyszedłem po raz kolejny z domu, aby w samotności nie dostać świra. W kieszeniach miałem chusteczkę, parę drobnych, paczkę fajek i strzykawkę, tak na wszelki wypadek. Powoli snułem się w kierunku centrum, gdy nagle pod sklepem spożywczym ujrzałem znajomą mi sylwetkę. To był oczywiście Janek. Dzień wcześniej, gdy wyglądałem przez okno, wydawało mi się, że go widziałem. Stał z Grubym i popijali piwo. W pierwszej chwili bardzo się ucieszyłem, ale prawie w tym samym momencie zrobiło mi się głupio. Wprawdzie podałem mu do puszeki wszystko, o co prosił, jednak z tym ćpaniem to wiedziałem, że nie jest do końca w porządku. Podszedłem trochę bliżej i wtedy spotkaliśmy się wzrokiem. Janek uśmiechnął się serdecznie, podniósł rękę do góry i uradowany na mój widok krzyknął:

– Siemasz, Młody, jak dobrze wreszcie cię widzieć.

– Siemasz – odpowiedziałem i uściskaliśmy się po przyjacielsku.

– Co u ciebie, bo słuchy mnie doszły, że nie za ciekawie – rzucił.

– Ogólnie kiepsko, ale bywało gorzej – rzuciłem.

– Słyszałem, że wzięłeś się za ćpanie i łazisz z tymi brudami – powiedział dość ostro, patrząc mi prosto w oczy.

– Już z tym skończyłem, ale tak było – odpowiedziałem, opuszczając wzrok.

– No bo wiesz, Młody, z ćpanem to nikt nie chce robić interesów, więc musisz zdecydować.

– Tak, wiem – przyznałem – z tym już koniec. Tylko chociaż ty mi daj spokój – dodałem nerwowo.

– Dobra, tylko pamiętaj, albo jedno, albo drugie, coś wybrać musisz. Nie ma, Młody, że boli. W tym fachu nie ma litości i dobrze o tym wiesz.

– No chyba ci już powiedziałem, więc nie nawijaj mi smutków. – Teraz się trochę postawiłem.

– Okey, to przybij piątkę.

Podaliśmy sobie ręce i tak jakby nic się nie stało, ruszyliśmy we trójkę na podwórko do Janka. Gruby był przy kasie, więc po drodze kupiliśmy parę bałaganów i poszliśmy się schlać na przywitanie. Tego dnia usłyszałem jeszcze kilka smutnych uwag pod swoim adresem od Janka, ale w końcu wszystko powróciło do normy.

Po ostatnim winie mocno wstawiony poszedłem do domu. Rano, tak jak za starych czasów, obudził mnie potworny kac. Ubrałem się i poszedłem prosto do Janka. Jemu też po wczorajszej imprezie kwaśniak rozrywał głowę. I w takich kiepskich nastrojach wyszliśmy na miasto zaleczyć kaca. Janek żył jeszcze więzieniem. Zrobił się dziwnie narwany. Chciał od razu wyrząbać jakiś numer. Ja byłem trochę ostrożniejszy i przez całą drogę tłumaczyłem mu, aby się dobrze rozejrzeć, zanim coś zrobimy. Na nic to się nie zdało.

– Rąbiemy Młody i nie ma się na co oglądać – oznajmił mi i skęciliśmy w uliczkę prowadzącą na Pawiak.

Na miejscu zastaliśmy paru chłopaków, tyle że z innej brygady. Janek podszedł do jednego z nich i pożyczył trochę grosza.

– Dobra Młody, zawijamy się do mnie – rzucił, trzymając w ręce pieniądze na parę win.

Idąc do Janka, po drodze kupiliśmy parę kwaśniaków i poszliśmy po Grubego. Dzień zaczął się tak jak dawniej. Paczka fajek, kilka jaboli i puste kieszenie. Nawet porządnego numeru na oku nie było. Od nowa trzeba było kołować kasę na to pod-

łe, złodziejskie życie. Po drugim winie mieliśmy jednak już gotowy plan.

Gruby znał wiekowego księdza, który lubił pobawić się pi-siorkiem młodego mężczyzny. Ojczulek miał przy tym trochę kasy, a nasz kompan wiedział, gdzie ją trzyma. Sprawa jak dawniej była prosta. Dopiliśmy alpagi i pod wieczór udaliśmy się w kierunku domu duchownego. Chata nie była zbyt okazała, ale zawartość jej imponująca. Gruby nacisnął dzwonek i po chwili drzwi otworzył mu starszy mężczyzna. Przywitali się i weszli do środka. My z Jankiem przeskoczyliśmy płot posesji i pochyleni podeszliśmy pod okno. Przykucnęliśmy przy murze domu i przez chwilę czekaliśmy na umówiony znak. Trwało to jednak zbyt długo, więc wskoczyłem Jankowi na ramiona i zajrzałem do środka. W pokoju świeciła się stojąca w rogu lampka nocna. Na wersalce na wprost okna siedział Grubas z opuszczonymi portkami do kolan, a przed nim klęczał wielebny, obgryzając ogonek naszego współnika. Zeskoczyłem z pleców Janka i zdałem mu dokładnie relacje.

– To dobrze – powiedział – wszystko idzie po naszej myśli, powinno się udać – i palcem pokazał mi, abym był cicho.

Przez ponad godzinę warowaliśmy pod oknem wielebnego, aż wreszcie otworzyły się drzwi i dwaj panowie, po dobrze spędzonej randce, wyszli z domu, udając się w niewiadomym kierunku.

– Dobra Młody, wchodzimy – powiedział Janek i ruszyliśmy z drugiej strony domu.

Podeszliśmy pod małe okienko od łazienki i ponownie wskoczyłem Jankowi na barana. Chwyciłem za framugę i pociągnąłem mocno do siebie. Lufcik cichutko zaskrzypiał i otworzył się na zewnątrz.

– Jest – rzuciłem.

– Dobra, ładuj się do środka, a ja cię będę obstawiał.

Wdrapałem się na parapet i wskoczyłem do łazienki. Kasa miała być na poddaszu w małym pokoiku obok schodów. Ruszyłem więc na górę. Na wprost zakręcanych schodów prowadzących na strych znajdowały się wąskie niewysokie drzwi obite sklejką. Chwyciłem za klamkę i napotkałem opór. Cofnąłem się krok do tyłu i z całej siły kopnąłem w okolice zamka. Trochę puściły, poprawiłem więc raz jeszcze i wraz z nogą wpadłem do środka. Wszystko było tak, jak Grubas powiedział. Otworzyłem starą drewnianą szafę i z pościeli na górnej półce wyjąłem skórzaną, bardzo już wysłużoną teczkę. Zjrzałem do środka i wszystko się dokładnie zgadzało. Pieniądze, złoto i jakieś papiery. Wyjąłem papiery i wrzuciłem je z powrotem na półkę do szafy. Z teczką pod pachą zszedłem do łazienki i wyskoczyłem przez okno.

– Dobra Jasiu, dajemy dyla, mam wszystko.

Przeskoczyliśmy płot posesji i szybkim krokiem ruszyliśmy, jak za dawnych czasów, do starego drewniaka pod lasem. Po drodze gęby nam się cieszyły jak niegdyś, gdyż takiej kasy od dawna już żaden z nas nie oglądał. W spożywczy na rogu, niedaleko wielebnego, kupiliśmy parę bałaganów, aby czas nam szybko minął w oczekiwaniu na Grubego. Dotarliśmy na miejsce.

Kozetka, choć trochę przykurzona, stała jak dawniej. Okna nadal zabite deskami, a i smród jakiś swojski. Znowu byliśmy razem i na swoim podwórku. Strzepnąłem bród z kozetki, a Jasiu otworzył wina. Usiedliśmy obok siebie i nic nie mówiąc, wypiliśmy po kilka łyków. Zapaliłem papierosa i drapiąc się po brodzie, zagadałem:

– No to jak ci tam było?

– To trudno Młody opowiedzieć komuś, kto jeszcze nie siedział.

– No, ale tak ogólnie, chociaż coś nawiń.

– Wiesz, rano pobudka, później apel, po apelu śniadanie i wyjście do pracy.

– A gdzie pracowałeś?

– No jak to gdzie, przecież pisałem ci, że w kamieniołomach. Co? nie dostałeś mojego listu?

– Nie, dostałem, tylko myślałem, że sobie jaja z tymi kamieniołomami robisz.

– A to dlaczego? – zapytał zdziwiony.

– W ogóle nigdy bym nie przypuszczał, że w naszym kraju więźniowie w kamieniołomach jeszcze pracują.

– Ano pracują, Młody, i to bardzo ciężko – kompan mój zamyslił się i po chwili dodał – ale wiesz co, tak myślę, że dałbyś sobie tam radę.

– Po czym tak sądzisz? – zapytałem zdziwiony.

– Masz, Młody, to, czego niektórym brakuje.

– Co takiego? – zapytałem raz jeszcze.

Janek zapalił papierosa, spojrzał mi prosto w oczy i powiedział:

– Masz jaja, a jak ci to nic nie mówi, to powiem ci, że masz charakter.

– Dlaczego tak sądzisz? – zagailem nieśmiało.

– No bo jak trzeba coś kasy zarobić, to nie pękasz. Jak trzeba było mi paczki do puszki podawać, to też nie pękłeś, a w życiu masz tak samo przejebane jak ci, co za murem siedzą, to też myślę, że nie masz co przed puszką pękać.

– Wiesz Janek, to ostatnie to wcale nie było zabawne.

– Wiem Młody, ale prawda jest taka, że jak się wzięłeś już za ćpanie to już jest z tobą bardzo źle.

Spojrzał mój kompan w okno i cicho dodał:

– I chyba nie zanosi się, że będzie lepiej. Musisz się tymczasem z tym pogodzić, a może kiedyś przyjdzie taki dzień, że będzie lepiej.

Wypiliśmy jeszcze po łyku i do drewniaka wszedł nasz dzisiejszy współnik.

– Siemano chłopaki – rzucił od drzwi.

– No cześć. Już po randce? – rzucił z uśmiechem Janek.

– Ty się nie uśmiechaj, tylko przypomnij sobie, jak ci cwel w pudle laskę polerował.

– No dobra, mów, co jest grane z wielebnym.

Gruby sięgnął po kwacha, wypił parę łyków i powiedział.

– Nic, wróciliśmy do chaty z flaszką i okazało się, że ktoś się włamał.

– A on co na to?

– Nic, trochę się wkurzył, ponarzekał i po krzyku.

– Pójdzie na psiarnię? – zapytałem.

– Pogięło cię Młody, a jakby to swoim owieczkom z amboną wytłumaczył, że skąd niby ma tyle kasy?

– No tak – przytaknąłem.

Przez chwilę zapadła głucha cisza.

– A więc, panowie, mamy kasę, to czas na małą imprezkę – rzucił wesoło uradowany Janek.

Zgodnie z Grubym przytaknęliśmy głowami.

– A więc zapraszam do siebie.

Dopiliśmy resztę wina i we wspaniałych nastrojach ruszyliśmy po trunki i dalej do Janka.

Przy dźwiękach starej gitary zaplanowaliśmy kolejny wypad. Tym razem zdecydowaliśmy jechać na południe. Tej nocy urznięliśmy się w trupa.

Rano wspólnie zaleczyliśmy kaca i z pełnymi kieszeniami pieniędzy wsiedliśmy w popołudniowy pociąg do Krakowa. Rozsiedliśmy się wygodnie w ośmioosobowym przedziale i po chwili przyszedł do nas pan konduktor. Biletów oczywiście nie posiadaliśmy, gdyż w tamtych latach dawało się po prostu w łapę i było po sprawie. Zainkasował stosowną kwotę i się oddalił. Minęło trochę czasu i pan w mundurze zjawił się

na nowo. Tym razem po to, aby zaproponować nam kupno czystej wódki i jakiejś przepitki. Janek bardzo chętnie dokonał zakupu i zaprosił kanara na kieliszek, a raczej na szklanekę czystochoy. Gościu z początku wydawał się całkiem sympatyczny jednak po paru głębszych powiedział coś, co naraziło go na nie-małe kłopoty, a moim kompanom strasznie się nie spodobało. Od tej pory siedziałem cicho i tylko się przyglądałem, co się będzie dalej działo. Gruby polewał wódkę. Janek podkręcał tempo, a ja udawałem, że piję. Pan konduktor rozsiadł się wygodnie pod oknem i opowiadał, a raczej przechwalał się tym, ilu to złodziei pozamykał, będąc parę lat wcześniej w służbie ochrony kolei. Z tymi przechwałkami trafił pod najgorszy możliwy adres, czyli do nas. Gruby, jak tego słuchał, to aż się gotował w środku, gdyż parę lat wcześniej sokiści za drobną kradzież stłukli go na kwaśne jabłko i zawlekli na milicję. Wprawdzie nie wylądował za kratkami, ale przez dwa tygodnie leczył rany. Po niespełna godzinie wspólnej podróży facet był już kompletnie pijany. Gruby wlał mu jeszcze jedną szklanekę, ale tym razem pomógł mu ją wypić. Złapał go po prostu za włosy i wlał mu ją do gardła. Konduktorek zaczął się krztusić, ale po chwili mu przeszło i najzwyczajniej na świecie sobie zasnął. Janek przetrzepał mu kieszenie i podręczną torbę, a Gruby rozebrał go do naga i ubranie wyrzucił przez okno. Zostawił tylko konduktorską czapkę. Posadził byłego sokistę pod oknem, w gębę włożył mu peta, między nogi pustą butelkę po wódcę, a na głowę wcisnął mu kolejarską czapkę. Gruby chyba po raz pierwszy w życiu nie użył mięśni, tylko resztek rozumu, jaki wtedy jeszcze posiadał. Po udekorowaniu jegomościa w niezbędne rekwi-zyty ze stoickim spokojem wysiedliśmy na najbliższej stacji.

Dobrze wstawieni wsiedliśmy do najbliższego PKS-u i po-jechaliśmy w kierunku wawelskiego grodu, gdyż dalsza jazda pociągiem należała do nieco ryzykownych. Na miejsce zajecha-liśmy wczesnym wieczorem i prosto z dworca ruszyliśmy zwie-

dzać krakowskie kafejki. Zabytki tego wieczoru wydawały nam się niezwykle smakowite. Zagraniczne piwo i wytrawne wino przedniej marki nie pozwoliły nam już na zwiedzanie trzeciej knajpki. Mieliśmy po prostu już dość. Z dużymi kłopotami do-
wlekleśmy się do podrzędnego hotelu i tam zarzuciliśmy kotwicę. Wzięliśmy trzyosobowy pokój, parę piw i w opakowaniu rzuciliśmy się spać.

Nazajutrz obudził mnie potworny kac. Sięgnąłem po butelkę z piwem i nie odrywając jej od ust, wlałem w siebie. Ból pomału zaczął ustępować, więc zarządziłem pobudkę moim kompanom. Zwlekli się z wyrek, włąli w siebie po parę łyków piwa i wspólnie zaczęliśmy radzić, co dalej robić. Propozycji było wiele, jednak gorąca kąpiel i doprowadzenie się do podobizny gatunku ludzkiego wzięła górę nad całą resztą. Wyruszyliśmy do miasta. W pierwszej z brzegu knajpce łyknęliśmy kilka piw i Gruby rzucił hasło „idziemy na dancinɡ”. Dla mnie to było coś fajnego i nowego, wcześniej na takim balecie nigdy nie byłem. W pierwszym sklepie odzieżowym wszyscy sprezentowaliśmy sobie niedrogie, całkiem przyzwoite garnitury. Po raz pierwszy od czasu mojej komunii świętej włożyłem na siebie garnitur, białą koszulę, krawat i czarne półbuty. Czułem się w tym nowym opakowaniu trochę nieswojo, ale naprawdę mężczyzną. Gruby znał dobrze Kraków, zaprowadził nas do przytulnego lokalu. Sala była duża, ze sceną w rogu, a na niej widniały rozłożone instrumenty. Byliśmy jednymi z pierwszych gości tego wieczoru.

Po przeciwnej stronie sceny przy stoliku siedziały dwie bardzo szykowne kobiety około czterdziestki. Od samego naszego wejścia w dziwny sposób jedna z nich co chwilę spoglądała w moją stronę. Z początku trochę mnie to peszyło, ale po paru głębszych nawet mi się spodobało. Po jakiejś godzinie wszystkie stoliki były już zajęte. Orkiestra zaczęła grać i parkiet zaroił się od tańczących par. Tylko my jak te sieroty siedzieliśmy

z rozdziawionymi gębami, łypiąc spode łba na co fajniejsze kobiety. W drugim końcu sali siedziały dwie samotne dziewczyny w wieku Janka i Grubego. Chłopaki jednoznacznie spojrzeli po sobie i bez słowa ruszyli w ich kierunku. Podeszli, uklonili się i poprosili damy do tańca. Jak szybko je poprosili, tak jeszcze szybciej z opuszczonymi głowami wrócili z powrotem do naszego stolika. Gruby trzymał fason, ale Janka krew chciała zalać. Oczekałem chwilę i zapytałem:

– No i co robimy?

– A siedzimy, pytasz, jakbyś ślepiów nie miał – wybuchnął zirytowany Janek.

– Czego się wściekasz, może po prostu nie jesteś w jej typie?

– No chyba tak – dorzucił Gruby.

Sytuację rozładowała orkiestra. Solista opowiedział socysty dowcip i wszyscy na sali zaczęli się śmiać. Perkusista uderzył w bębenek i na nowo zaczęły się tańce. Po chwili milczenia ponownie zagadałem:

– Janek, a może to tylko tak na tych filmach w telewizji pokazują, że facet podchodzi do kobiety robi ukłon, a ona od razu z nim idzie tańczyć.

Jasiu wzruszył ramionami i po chwili smutnym głosem wydukał:

– Chyba tak.

– Młody w tej telewizji to tylko kłamią – dorzucił podenerwowany.

Zgodnie z Grubym przytaknęliśmy zde gustowanemu kole-dze.

– No weźcie na przykład prognozę pogody. Mówią, że będzie słońce, a tu deszcz pada...

– No tak – znowu przytaknąłem. – Wiesz co, Janek, a może te babki z telewizji to są jakieś inne? – ciągnąłem dalej.

– Młody, ty to masz łeb i to na pewno jest dokładnie tak, jak mówisz. Każą im grać, a ludzie się na to nabierają – zakończył pewnym wyjaśnieniem Janek.

Poprawił się pewnie na stołku i kieliszkiem kolorowej wódki wznosił toast:

– No to za lepsze czasy.

Wziąłem do ręki swój kielich i stuknąłem się nim z chłopakami. Wypiliśmy i wolnym krokiem udałem się do toalety. Wracając, przeczesalem włosy i oglądając sobie lokal, ruszyłem wolno do stolika. Mijałem właśnie szatnię, gdy z sali nagle wyszła kobieta, która przez dłuższy czas mi się znacząco przyglądała. Na jej widok aż zwolniłem kroku. Zrobiło mi się głupio, patrzyła mi prosto w oczy i serdecznie się do mnie uśmiechała. Nie wiedziałem, jak mam się zachować. Opuściłem wzrok i maszerowałem prosto na nią. Kiedy byliśmy prawie naprzeciw siebie, pięknej nieznajomej upadła torebka i wszystko z niej rozsypało się po holu. Nieśmiało, bez słowa, zacząłem wraz z nią zbierać zawartość torebki z podłogi. Spoglądałem spode łba na jej obfite piersi kryjące się pod wieczorową suknią. Jak na kobietę około czterdziestki była śliczna. Długie blond włosy, piękne długie nogi, bardzo ładna buzia i nadzwyczaj dorodny biust. Wyprostowałem się i podałem nieznajomej zawartość jej torebki.

– Proszę – wydukałem cicho.

– Bardzo ci dziękuję – odpowiedziała, uwodzicielsko patrząc mi w oczy.

Twarcz jak nigdy dotąd zaczęła mnie strasznie piec i poczułem dziwne zmieszanie. Jeszcze nigdy wcześniej żadna kobieta tak na mnie nie patrzyła. Nogi zrobiły mi się jak z waty i zapomniałem języka w gębie.

– No to ja już pójdę – dodałem, prawie stękając.

– Nieśmiały jesteś – rzuciła i wyciągnęła rękę na przywitanie: – Mam na imię Marlena, a ty?

– Mówią na mnie Młody.

– Nawet sympatycznie, a długo jeszcze będziesz na dancingu?

– Chyba do rana – odpowiedziałem już trochę pewniejszym głosem.

– To na razie, uśmiechnęła się raz jeszcze i poszła w kierunku toalety.

Do stolika wróciłem jak bohater z filmu. Opowiedziałem wszystko chłopakom i wspólnie czekaliśmy, aż Marlena pojawi się na sali.

– Jest – powiedział cicho Gruby i ruchem głowy wskazał na wejście.

Jak na komendę wszyscy wlepiliśmy w nią wzrok. Marlena szła wolno przez salę, powabnie kręcąc biodrami. Przełożyła torebkę do drugiej ręki, dyskretnie spoglądając w moją stronę. Podeszła do swojego stolika, usiadła i zaczęła rozmawiać z koleżanką.

– Młody, ale ona za stara jak dla ciebie – powiedział zachwycony Janek.

– Wiem, ale niezła babka, co?

Kompani tylko skinęli głowami.

– No, ale cóż z tego, nie dla psa kielbasa. Trzeba załatwić panienki i jedziemy do hotelu – oznajmił Janek.

– Mamy jeszcze czas, a panienki nam nie uciekną. Wiem, gdzie stoją – skwitował te rozważania Gruby.

Prawie w tym samym momencie na scenę wyszedł konferansjer i zapowiedział występ striptizerki. Wszystkie światła pogasły i w rogu zapalił się tylko jeden reflektor, oświetlając młodą kobietę efektownie, w rytm wolnego kawałka, zrzucając z siebie seksowne ciuszki. Mnie na ten widok zrobiło się gorąco. Chłopaki wlepili w nią wzrok. Babka powabnym ruchem ściągnęła z siebie koronkowe majteczki, ukloniła się i powoli kręcąc pośladkami, opuściła salę. Światło zapaliło się i ar-

tystka dostała gromkie brawa. Raz jeszcze wyszła, ukłoniła się i znikła już na dobre. Pokręciłem się chwilę na stołku i ponownie wyszedłem do toalety. To, co przed momentem zobaczyłem, rozgrzało moją wyobraźnię. Posapałem trochę w ubikacji i wróciłem na salę. Chłopaki omawiali dalszy plan pobytu w Krakowie. Zespół zagrał przytulany kawałek i wtedy przez ramię Janka spojrzałem na Marlenę. Patrzyła się na mnie i lekko uśmiechała. Odwzajemniłem się też uśmiechem, a ona gestem ręki zaprosiła mnie do swojego stolika. W pierwszej chwili zbaraniałem, ale zrobiło mi się bardzo miło. Kiwnąłem głową na znak przyjęcia zaproszenia. Oznajmiłem chłopakom, iż wybieram się na podryw i dumnym krokiem pomaszerowałem do jej stolika. Przywitałem się z jej koleżanką i usiadłem. Na tym moja odwaga się skończyła. Po chwili milczenia kumpela jej pożegnała się i opuściła lokal.

– Jak podobał ci się występ – rzuciła nieoczekiwanie.

– Całkiem fajny – wymamrotałem speszony.

– Długo tu jeszcze będziesz? – zapytała.

– Nie wiem, nie jestem sam.

– Pytam, bo miałabym do ciebie prośbę.

– Jaką? – zapytałem z zaciekawieniem.

– Mieszkam niedaleko i boję się o tej godzinie sama wracać. Może mógłbyś mnie odprowadzić?

– Oczywiście – rzuciłem nonszalancko.

– To świetnie. Pójdę do szatni, a ty powiedz swoim kolegom i spotkamy się przy wyjściu.

Kiwnąłem twierdząco głową i podszedłem do stolika chłopaków.

– No i co, Młody? – jak na komendę zapytali razem.

– Opuszczam was, idę odprowadzić damę do domu.

Gruby nic nie powiedział, a Jankowi zrzędała mina.

– Jak nas tu nie będzie, to spotkamy się w hotelu – bardzo oficjalnie oznajmił Janek.

– Dobra – skwitowałem i ruszyłem ku wyjściu.

Przed lokalem z papierosem w dłoni czekała już na mnie Marlina. Chwyła mnie pod rękę i wolno, niewiele mówiąc, szliśmy w kierunku jej domu. Noc była piękna, a krakowskie uliczki starego miasta cudowne. W głowie mi trochę szumiało, ale ogólnie czułem się wspaniale. Po raz pierwszy nikt nie wciśnął mi brzydkiego kaczątka, które z braku laku musiałem obrabiać. Tym razem chłopaki musieli zadowolić się panienkami za pieniądze, a ja, choć nie wiedziałem, co się stanie, ale przynajmniej przed nimi wypadłem lepiej.

Doszliśmy do bramy jednej z pięknych kamienic i Marlina zaprosiła mnie do siebie na małego drinka. W mieszkaniu od razu zrozumiałem, że pochodzi z innego świata. Ogromne trzypokojowe mieszkanie pełne stylowych mebli, obrazów, antyków, a w dodatku w największym salonie przepiękny kominek z dużym lustrem znajdującym się tuż nad nim. W każdym pokoju podłoga była wyłożona lśniącym parkietem, a na niej leżały porozkładane skóry dzikich zwierząt. Zrobiło to na mnie wrażenie. Poczuję się bardzo spięty. Usiadłem w stylowym fotelu i nerwowo wyczekiwałem, co się dalej wydarzy. Marlina weszła do salonu z dwiema szklaneczkami jasnopomarańczowego płynu i bez ogródek zapytała:

– Dziwisz się, że cię zaprosiłam.

– Szczerze mówiąc, to tak.

Podawała mi drinka.

– No to za naszą znajomość.

Wychyliłem do dna i odłożyłem na stojący pod ręką stolik. Uśmiechnęła się, patrząc mi w oczy, i zapytała:

– Ile dokładnie masz lat?

Opuściłem głowę i nieśmiało wyszeptalem:

– Niedawno skończyłem osiemnaście.

– No to już z ciebie prawie mężczyzna.

Przytaknąłem jej głową.

– Nie musisz się wstydzić swojego wieku, to są twoje najlepsze lata.

Obróciła się i sięgnęła do stojącego barku po butelkę jakiegoś nie znanego mi trunku. Napełniła szklaneczki i ponownie mi podała. Małymi łykami porcjowałem i po chwili zupełnie się rozluźniłem. Marlena usiadła mi na kolanach, a głowę moją wtuliła w swoje olbrzymie piersi.

– Podobam ci się? – zapytała.

– Bardzo.

– To dobrze – ciągnęła. – Lubię młodych chłopców, bo te stare capy przy tym bardzo sapią i mają duże, tłuste, spocone cielska.

Wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do sypialni z dużym podwójnym szerokim łóżem. Pchnęła mnie na nie, a sama stanęła przed nim i zaczęła się rozbierać. Zrzuciła z siebie ostatni ponętny łaśzek i jak dzika tygrysica wskoczyła na mnie. Prawie zerwała moje ubranie i zaczęliśmy się kotłować.

To była poezja, czułem się jak w siódmym niebie. Moje dotychczasowe przygody przy tej wydały mi się nie znaczącym epizodem. Nagle przerwała swój trans i położyła się tyłem do mnie. Złapała za pisiorka i zaczęła wkładać go w magiczne dotąd dla mnie miejsce.

– Ale ja nigdy wcześniej w ten sposób nie robiłem – wyszeptałem zawstydzony.

– Spodoba ci się, zobaczysz – rzuciła, nie przerywając czynności.

– A nie będziesz miała później kłopotów ze stolcem – dopytałem zatroskany.

Marlena wybuchnęła śmiechem, a ja czułem się jak malutki chłopczyk przyłapany przez własną matkę na oglądaniu gazetki z nagimi babkami. Później już niewiele mówiłem, robiłem to, na co miała ochotę, aż w końcu wyczerpany zasnąłem. Nazajutrz obudziłem się we wspaniałym humorze. W łóżku byłem sam,

tylko z kuchni dobiegały odgłosy krzątania się. Wstałem, ubrałem się i poszedłem do łazienki. Oddałem mocz do jakiejś dziwnej ubikacji bez deski, umyłem się i poszedłem z powrotem do sypialni. Usiadłem na łóżku i rozglądałem się po pokoju. Nagle zza pleców usłyszałem nieznanym mi głosem.

– Dzień dobry młodzieńcze.

Obróciłem się i zdębiałem. W drzwiach sypialni stała kumpela Marleny z wczorajszego dancingu.

– Dzień dobry – odpowiedziałem.

– Nasikałeś mi do bidetu – rzuciła surowo.

– Nie wiedziałem, o co jej chodzi, więc tylko przytaknąłem głową.

– Możesz się już zbierać do swoich kolegów – ciągnęła dalej.

– Ale ja czekam na Marlenę – powiedziałem stanowczo.

– Marleny już nie ma i nie będzie, a tak w ogóle to jesteś w moim domu i życzę sobie, abys już poszedł.

– Jak to? – zaproponowałem.

– A tak to. Jesteś u mnie, wczorajszy wieczór już minął, grzecznie się pożegnaj i bądź uprzejmy opuścić mieszkanie.

Wstałem z łóżka, poprawiłem ubranie i wolno ruszyłem do wyjścia. Kobieta otworzyła mi drzwi i na odchodne rzuciła:

– Zapomnij o niej i nie staraj się jej szukać, bo narobisz sobie kłopotów.

Chciałem coś jeszcze powiedzieć, ale zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. I tak brutalnie zakończyła się najdziwniejsza znajomość w moim życiu.

Zielony ze złości poszedłem do hotelu. Chłopaki w szampańskich humorach leżeli na łóżkach i popijali piwo. Rzuciłem się na swoje wyrko i sącząc browar, zdałem im relację z niezwykle fascynującej nocy. Pośmialiśmy się trochę i w poszukiwaniu przygód ruszyliśmy na miasto. Pogoda jak na koniec maja była fatalna. Zaczął wiać silny wiatr i po chwili z nieba

łało jak z cebra. Łaziliśmy bez celu, zwiedzając kolejne kafejki na Starym Mieście. Nawet na piwo nie mieliśmy już chęci. Zrobiło się dziwnie drętwo i smutno. Wprawdzie kasy mieliśmy jeszcze dużo, jednak postanowiliśmy wracać do Warthenau. Poza mną nikt nie wspominał tej wyprawy zbyt miło. Zmęczeni wsiedliśmy w popołudniowy pociąg i po niespełna dwóch godzinach znaleźliśmy się na własnych śmieciach. Gruby z dworca poszedł do domu, a my z Jankiem postanowiliśmy zajrzeć na Pawiak. Kompan mój był w lepszym humorze niż Gruby.

Pośmialiśmy się trochę z minionego wypadu i w szampańskich nastrojach weszliśmy na teren ruin starego więzienia. Pod wybitym oknem jednej od dawna opuszczonych cel na ławce zrobionej z dwóch pustaków i spróchniałej deski siedziela powstać. Było już prawie ciemno, więc od razu jej nie rozpoznałem. Podeszliśmy trochę bliżej i wszystko stało się jasne. Na prowizorycznej ławce oparty więzienny mur siedział nasz dawny nieodżałowany kompan Balon. Zgarbiony ze spuszczoną głową z papierosem w ręce wpatrywał się w stojącą przed nim butelkę.

– Siemasz stary druhu – krzyknął Janek.

Przyjaciel nasz podniósł głowę i cicho powiedział:

– Cześć.

Spojrzałem mu głęboko w oczy i od razu zrozumiałem, że w jego życiu wydarzyło się coś naprawdę strasznego.

– Kiepsko wyglądasz – dorzucił Janek.

– Bo wcale nie jest mi do śmiechu – odburknął wrogo.

Usiadłem obok niego i zapytałem:

– Mogę ci jakoś pomóc?

Balon spojrzał mi przyjaźnie w oczy i surowym głosem powiedział:

– Miło cię Młody widzieć, ale nikt mi nie może już pomóc.

– Ale powiedz chociaż, co się stało – dodałem.

Pochwycił butelkę z winem i wlał ją w siebie do końca. Zaciągnął się papierosem, wstał i pustą flaszką z całej siły rzucił w więzienny mur.

– Ty, powiedz wreszcie, co jest grane – odezwał się nerwowo Janek.

Balon stanął naprzeciwko nas i ze złowrogim spojrzeniem i z szyderczym uśmiechem na twarzy zaczął opowiadać.

– W życiu chłopaki to nie jest tak prosto, jak się wam wydaje. Jak przesiedzisz parę lat w mamrze, to już zupełna kicha.

– Dlaczego? – zapytałem.

– No bo Młody, co byś nie robił i jak byś się nie starał, to i tak ludzie mają cię za nic.

– Przecież chodzisz do szkoły, pracujesz, nie pijesz, nie kradniesz i nawet na Pawiak nie zaglądasz, a więc o co chodzi? – ciągnąłem dalej zdziwiony.

– Też mi się tak wydawało – odpowiedział ponurym głosem.

– Trzy dni temu kupiłem pierścionek, kwiaty i poszedłem do swojej pani prosić o jej rękę. Wcześniej razem uzgodniliśmy, że się pobierzemy, i nic nie wskazywało na to, że coś stanie nam na przeszkodzie. Jednak tego wieczoru dowiedziałem się, że w oczach jej rodziców już na zawsze będę zerem. A przyszły mój teść oznajmił, że bardzo się cieszy, iż odmieniłem swoje życie, ale córki kryminaliście za żonę nie odda.

– A co ona na to? – zapytałem.

– Nic, opuściła tylko swój wredny pysk i zaproponowała mi, że możemy przecież zostać przyjaciółmi.

– A ty co na to? – dopytałem zaciekawiony.

– Nic, wstałem i wyszedłem, no bo co tam miałem dalej szukać? – ciągnął rozżalony Balon.

Spojrzelśmy po sobie z Jankiem i jak na komendę wzruszyliśmy ramionami. Usiadłem na ławce i nie miałem już chęci

o nic dalej go pytać. Zrobiło się nagle smutno, jakby ktoś bliski nam umarł.

Janek zaproponował, aby kupić parę butelek wódki i pójść do niego pomyśleć, co dalej z tym fantem robić. I tak też zrobiliśmy. To był bardzo smutny wieczór. Balon niewiele mówił, a ja z Jankiem sztucznie próbowaliśmy go pocieszać. Na niewiele to się zdało, gdyż dawny nasz kompan był dziwnie odjechany. Wprawdzie normalnie z nami rozmawiał, ale co jakiś czas odlatywał myślami i zachowywał się tak, jak gdyby go z nami w ogóle nie było. Kiedy dopiliśmy drugą połówkę, Balon wstał i powiedział:

– Chłopaki, dajcie mi na flaszkę, bo muszę jeszcze coś ważnego dzisiaj załatwić.

Zdziwiło mnie to bardzo, jednak nie pytając o nic, wyjąłem z kieszeni pieniądze i wręczyłem je cierpiącemu koledze.

– Może zostaniesz? – zapytał z grzeczności Janek.

Balon pokiwał przecząco głową i powiedział?

– Trzymajcie się chłopaki, ja już tak żyć nie potrafię.

W oczach jego pojawiły się łzy, a na twarzy dziwny grymas, jakiego dotąd u niego nigdy nie widziałem. Wyciągnął do mnie rękę, a drugą objął mnie mocno i poklepał po plecach.

– Trzymaj się, Młody, jeszcze będą z ciebie ludzie.

Cofnął się o krok do tyłu i dwiema rękami objął Janka, stanowczym głosem mówiąc:

– Żegnaj, stary druhu, i dbaj o Młodego, żeby się całkiem nie zmarnował.

Janek chciał coś jeszcze powiedzieć, jednak Balon ostro rzucił:

– Nie trzeba – i wyszedł.

Nic z tego nie zrozumiałem, a i Janek też miał głupawą minę. Posiedzieliśmy chwilę w zupełnym osłupieniu, aż wreszcie kompan mój przemówił i otworzył kolejną butelkę.

– Ty, o co mu chodzi? – zapytał zdziwiony.
